

# PAMIĘCI HELENY Z POTOCKICH von MAUBERG



Helena Potocka von Mauberg, fot. arch. W. Żurawskiego

\*

## **Wrzesław Żurawski** (*Łańcut*)

Urodziła się w Warszawie 18 maja 1934 roku. Rodzina mieszkała wówczas w miejscowości Derażne nad Horyniem na Wołyniu na północny zachód od Równego. Ojciec Roman Potocki (1893-1971) wychował się w Antoninach koło Starokonstantynowa, który to majątek miał przejąć po swym ojcu Józefie Mikołaju (1862-1922). Niestety w wyniku rewolucji bolszewickiej, która nastąpiła u końca I wojny światowej Antoniny zostały zniszczone i znalazły się po sowieckiej stronie granicy. Roman Potocki kupił nieduży pałac z majątkiem w Derażnem, gdzie wraz z żoną Anną Światopełk-Czetwertyńską (1902-1987) mieszkał od 1929 do 1939 roku. Tam też przyszło na świat pięcioro ich dzieci: Maria (1929-2020), Roman (1930-2013), Elżbieta (1933-), Helena (1934-2026) i Marek (1938-).

Relacje rodzinne z Łańcutem były bardzo serdeczne, ponieważ dziadek Heleny – Józef Mikołaj był bratem Romana, III ordynata na Łańcucie, a żona Józefa Helena z Radziwiłłów (1874-1958) była siostrą Elżbiety (1861-1950) – żony Romana. W serdecznych kontaktach pozostawali też synowie Józefa Mikołaja – Roman (ojciec Heleny) i jego brat Józef (1895-1968) oraz synowie Romana z Łańcuta – Alfred (1886-1958) IV ordynat i jego brat Jerzy (1889-1961). Dla rodziny, która utraciła Antoniny, Łańcut pozostawał zawsze najważniejszym gniazdem.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej ojciec Heleny – Roman został zmobilizowany do wojska. Po napaści Niemiec na Polskę, 17 września 1939 roku wkroczyli do Derażnego Sowieci, wyrzucając rodzinę z ich domu i rabując majątek. Roman, zmobilizowany, przeszedł z Wojskiem Polskim do Rumunii, gdzie został internowany do końca wojny. Matce Heleny, Annie z Czetwertyńskich Potockiej, obarczonej pozostałą liczną rodziną dopomogli Alfred i jego matka Elżbieta z Radziwiłłów. 6 grudnia 1939 roku, kierowani przez przybyłą z Łańcuta zakonnicę – kurierkę, opuścili na zawsze Derażne. W bardzo mroźną i śnieżną zimę potajemnie, oddzielnymi grupami, przedostali się przez linię Ribbentrop-Mołotow do Warszawy. Tam, po zatrzymaniu się w Hotelu Europejskim należącym wciąż do rodziny Czetwertyńskich, wyruszyli do Łańcuta, gdzie zdążyli do Zamku na wigilię.

W swej książce „Pewna Historia” wydanej w 2001 roku Helena szczegółowo opisała powyższe i kolejne perypetie wojenne swej rodziny. Dała przy tym jak najlepsze świadectwo o Alfredzie Potockim i jego postawie moralnej w czasie okupacji niemieckiej.

Latem 1940 roku rodzina przeniosła się do Suchowoli – majątku dziadków Czetwertyńskich na Podlasiu. Helena widziała i opisała grabież majątku przez niemieckich zarządców okupacyjnych. W 1942 roku znalazła się znów w Łańcucie. Tym razem rodzina wynajęła dom państwa Rutkowskich na Przedmieściu przy

obecnej ulicy 29 listopada. Było to bezpieczniejsze locum niż w Zamku, gdzie część pomieszczeń zajmowali wojskowi niemieccy. Alfred i jego matka Elżbieta z Radziwiłłów wspierali Annę z dziećmi, a wszelkie wydarzenia rodzinne były obchodzone w Zamku, między innymi pierwsza komunia święta Heleny w Kaplicy Zamkowej w 1943 roku. Helena chodziła do szkoły powszechnej prowadzonej przez Siostry Boromeuszki w budynku koło kościoła farnego. We wspomnieniach opisała ciepło księdza Ignacego Kozieję – znakomitego katechetę i duszpasterza rodziny Potockich.

W obliczu nadejścia Armii Czerwonej Alfred Potocki, IV ordynat opuścił Łańcut na zawsze 23 lipca 1944 roku. Anna z Czetwertyńskich Potocka zdecydowała się pozostać w Łańcucie, chroniąc się na krótko w dniach przejścia frontu w nieodległej wsi Handzlówka. Helena kontynuowała naukę w szkole, która musiała przenieść się do różnych opuszczonych budynków, ponieważ okupanci sowieccy zarekwirowali szkołę Boromeuszek na szpital wojskowy.



Zamek w Łańcut, rysunek wygenerowany przez ChatGPT5  
Z powodu narastających represji, w styczniu 1946 roku, rodzina ostatecznie pożegnała Łańcut udając się do Chorzowa, skąd potajemnie mieli przedostać się na zachód Europy. Ten plan nie powiódł się jednak i wiosną przenieśli się do Krakowa pod opiekę rodziny Franciszka Potockiego (z linii tulczyńskiej) zamieszkałej przy ul. Brackiej 2. Po różnych zabiegach ze wsparciem rodziny za granicę Helena wraz z najstarszą siostrą Marią wyjechała do Francji, gdzie dotarły na Wielkanoc do Montrésor.

Zamek w Montrésor – słynny zamek we Francji jest nieprzerwanie w rękach polskich od połowy XIX wieku aż do dziś. Zawsze opiekuńczy, serdeczny. Właścicielami byli Braniczcy, później Reyowie. Tak się złożyło, że po kilku latach siostra Heleny, Maria osiadła tu poślubiwszy spadkobiercę zamku Stanisława Reya.

Zanim to nastąpiło, jesienią 1946 roku obie siostry zostały wysłane na naukę do klasztornych szkół z internatem w Belgii. Po drodze, w hotelu Ritz w Paryżu odbyło się zaplanowane spotkanie z Elżbietą z Radziwiłłów Potocką i jej synem Alfredem, emigrantami z Łańcuta. Jak się okazało, Helena widziała ich wtedy po raz ostatni.

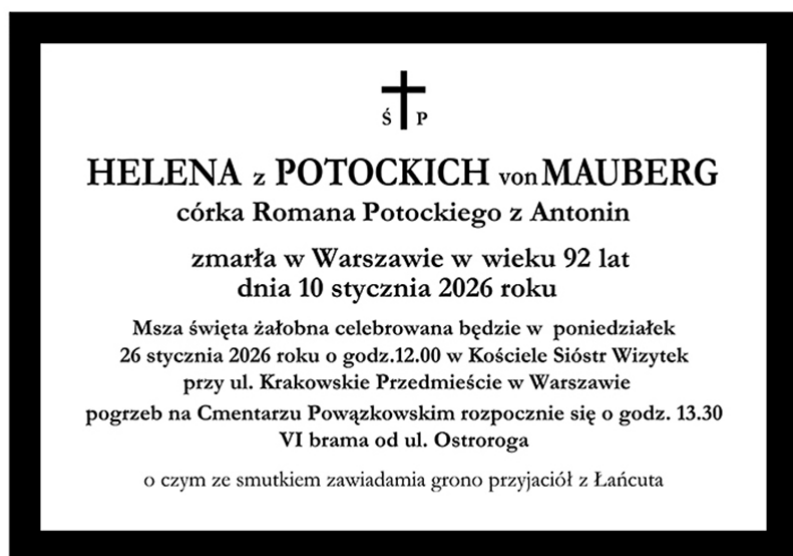
W połowie 1946 roku powrócił do Polski po internowaniu w Rumunii ojciec Heleny Roman Potocki. Oboje rodzice zamieszkali w Konstancinie pod Warszawą. Helena zdecydowała się do nich dołączyć. Opuściła Francję i Belgię w drugiej połowie sierpnia 1948 roku statkiem handlowym „Olsztyn” do Gdyni. Wkrótce rodzina przeniosła się do Krakowa, gdzie zamieszkała w skromnych warunkach w budynku dawnego Hotelu Saskiego przy ul. Sławkowskiej. Tu spędzili około 25 lat.

W latach 1953 – 1955 Helena studiowała architekturę na Politechnice Krakowskiej, a po wyjściu za mąż za Wacława von Mauberga (1931-2023) przeniosła się do Gliwic, gdzie małżonkowie założyli rodzinę i mieszkali do 2005 roku. Ostatnie lata spędzili w Warszawie.

Wraz ze swą liczną rodziną odwiedzała Łańcut wielokrotnie. Tu pochowany został jej ojciec Roman w 1971 roku. Była wraz z innymi Potockimi na uroczystości koronacji obrazu Matki Bożej Pani Łańcuckiej w 1992 roku, na wielu spotkaniach rodzinnych

organizowanych w Zamku przez Rosę i Stanisława Potockich w latach 1997 – 2014. Uczestniczyła w pogrzebie Heleny z Radziwiłłów, jej synów Alfreda i Jerzego Potockich i żony Jerzego Susany Yturregui y Orbegoso (1898-1989) sprowadzonych do rodzinnej krypty pod Łańcucką Farą z grobów w Lozannie w 2001 roku. Tu w Łańcucie pochowała też swego brata Romana w 2013 roku i w 2014 roku stryja Stanisława, ostatniego z linii łańcuckiej Potockich.

Napisała wspomnianą już książkę „Pewna Historia” wydaną przez wydawnictwo DiG w Warszawie w 2001 roku oraz o swym dziadku „Seweryn Książę Czetwertyński” wydaną przez Editions Spotkania w Warszawie w 2017 roku. Głęboko oddana kultywowaniu historii i dobrego imienia swej rodziny, szczęśliwa matka, babcia i prababcia zakończyła życie w Warszawie 10 stycznia 2026 roku.



\*

**Zobacz też:**

Antoniny po pożodze

Powrót

---

# Jan Potocki – A Traveler of Infinite Imagination



Jan Potocki, ca. 1810, photo: Wikipedia, public domain

In the history of Polish literature, few writers are as mysterious, multidimensional, and tragic as Jan Potocki (1761–1815), the author of *The Manuscript Found in Saragossa*—a work that has become legendary, inspiring filmmakers, philosophers, and poets, while turning its creator into an almost mythical figure.

Potocki was an aristocrat whose lineage traced back to the great hetmans and magnates of the Polish-Lithuanian Commonwealth. He was born in Pików, in the Podolia region—a land belonging to

the old borderland tales, filled with steppes, manors, Cossack legends, and a tapestry of diverse cultures. Yet from the very beginning, his horizons extended far beyond the borders of his homeland. He was a man of the Enlightenment in the fullest sense of the word—a scholar, traveler, diplomat, archaeologist, ethnographer, and writer.

## **Between Science and Adventure**

Potocki studied in Lausanne, attended lectures in Geneva and Paris, and then set out on journeys that took him across almost all of Europe and half the world—from Spain to Morocco, from Egypt to the Caucasus. His reports from scientific expeditions, especially his studies of the peoples of the Caucasus, testify to the remarkable openness and curiosity of a man who sought to understand the world in all its diversity.

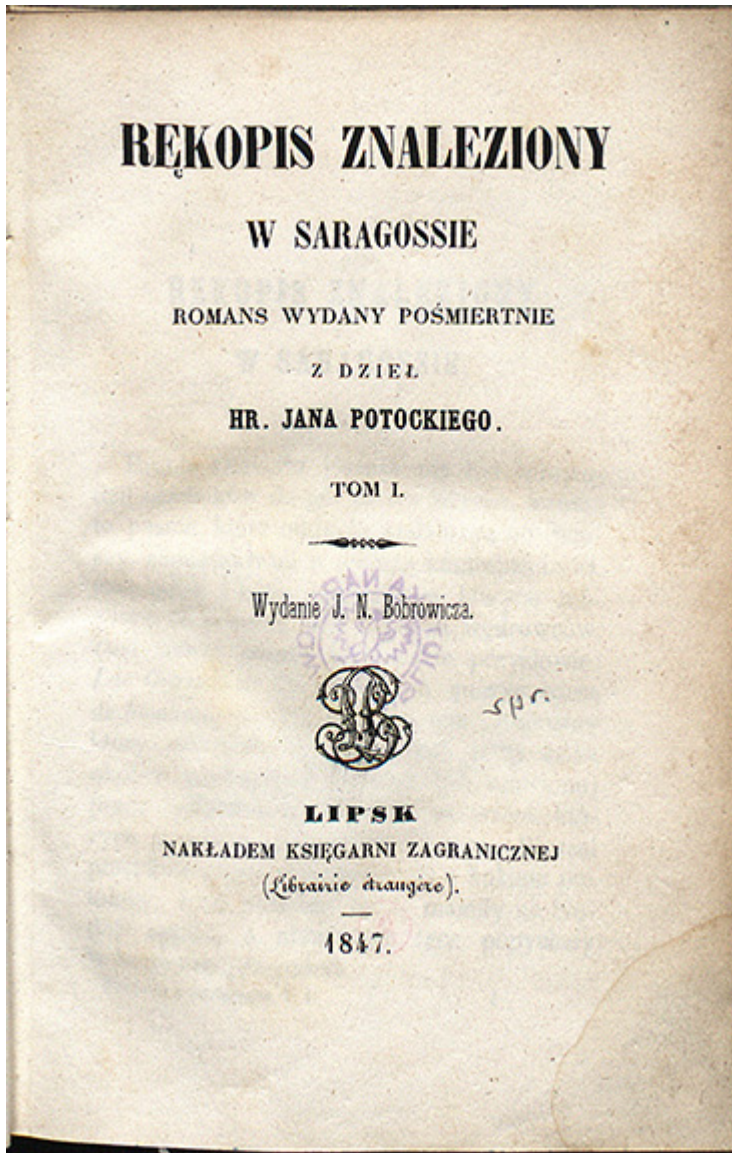
He was one of the first Poles interested in anthropology and comparative linguistics, studying the languages and customs of the peoples he encountered. Yet in his travel notes there always lingers a note of melancholy—a sense of transience and the fragility of human experience.

## **“The Manuscript Found in Saragossa” - A Labyrinth of Meanings**

From these experiences emerged his greatest work—*The Manuscript Found in Saragossa*. It is a frame narrative composed of dozens of interwoven stories that form a complex labyrinth of dreams, adventures, and philosophical reflections. The protagonist, a young officer named Alphonse van Worden, travels through the mountains of Andalusia and finds himself in a world of mysteries, spirits, scholars, bandits, Kabbalists, and beautiful women.

Beneath this baroque construction lies much more than an adventure tale—it is a meditation on human nature, faith, and knowledge. Potocki, raised in the rationalist spirit of the Enlightenment, seemed to sense that reason has its limits and that true wisdom is often hidden beneath the mask of myth.

It is no coincidence that *The Manuscript* later fascinated such artists as Luis Buñuel, Martin Scorsese, and Francis Ford Coppola. The 1965 film adaptation by Wojciech Jerzy Has became one of the most beautiful and hypnotic works in the history of cinema. Scorsese called it “the most extraordinary film ever made.”



Jan Potocki - *The Manuscript Found in Saragossa*, 1847 edition,  
photo: Wikipedia, public domain

## **A Man Who Belonged to No World**

Jan Potocki belonged to a world that was disappearing before his eyes. The Polish-Lithuanian Commonwealth had fallen, and he himself—despite serving various monarchies—never found a place where he truly belonged. It is said that he sank into a melancholy bordering on madness.

His death—by suicide, using a silver bullet he had cast himself from the handle of a sugar bowl—became a tragic symbol of the end of an era.

## **Jan Potocki's Final Journey**

On a December morning in 1815, in his estate in Uładówka, Podolia, Jan Potocki ended his life. He departed as he had lived — in the shadow of mystery, with a gesture full of symbolic meaning.

It is said that he crafted a bullet from the silver knob of a sugar bowl, which he asked the local priest to bless. Then, after prayer and receiving communion, he locked himself in his study and shot himself with a pistol. In this legend echoes the clash between Enlightenment reason and the darkness of the human soul. Some scholars believe that the story of the silver bullet is merely a romantic embellishment, yet no one doubts that Potocki's death carried both dramatic and deeply symbolic significance.

He spent his final years in solitude, immersed in depression and mystical contemplation. Weary of a world he no longer understood, he sought solace in prayer and philosophy. His death marked not only the end of the life of an aristocrat and scholar but also the metaphorical closure of *The Manuscript*

*Found in Saragossa* — a world where reality and fantasy intertwined, reason met madness, and light blended with shadow.

## **The Legacy of an Eternal Journey**

Today, Jan Potocki remains a fascinating figure who defies classification. He was the Polish Don Quixote of the Enlightenment—a dreamer who sought to unite the worlds of science and poetry, reason and mystery. His life and work form a tale of an unending search for meaning in a world that had lost it.

Perhaps that is why *The Manuscript Found in Saragossa* continues to captivate generation after generation—for within it, each of us can find a fragment of our own journey, our own labyrinth of questions without end.



View of the Łańcut residence.

Wall painting from the late 18th century, created by artists from the circle of decorators working for Izabela Lubomirska, probably associated with Vincenzo Brenna's workshop. Photo: Łańcut Castle Museum.

---

## **Biographical Note**

**Jan Nepomucen Potocki (1761-1815)** — Polish aristocrat, writer, traveler, historian, and scholar of the languages and peoples of Asia and the Caucasus; author of the first Polish philosophical-adventure novel, *The Manuscript Found in Saragossa*. He studied in Switzerland and France, served in the

Austrian army, and undertook diplomatic missions, including in Spain and at the court of Tsar Alexander I. Fascinated by Oriental cultures, he was a pioneer of ethnographic studies and historical geography.

Privately, he was married to Julia, the daughter of Princess Marshal Izabela Lubomirska of Łańcut. For the Princess's private theater, he wrote the celebrated *Parades*. After the death of Princess Lubomirska, the Łańcut estate passed into the hands of the Potocki family. The memory of this remarkable ancestor was never forgotten in the Łańcut Castle—portraits, manuscripts, and memorabilia connected with Jan Potocki were carefully collected there.

In **2015**, UNESCO declared the **Year of Jan Potocki**, marking the bicentenary of the death of the famous traveler and writer (1815–2015). Łańcut became the center of the commemorations, hosting the international scholarly conference *Jan Potocki After 200 Years*. On the day of the jubilee inauguration (June 25, 2015), a **symbolic balloon flight** was launched from the castle grounds, carrying commemorative mail—stamped and delivered by balloon—recalling Potocki's own historic balloon flight.

In the Sculpture Gallery, an exhibition of illustrations to *The Manuscript Found in Saragossa* by **Sławomir Chrystow**, commissioned by **Marek Potocki**, was presented. In November

2015, a new exhibition opened, featuring drawings inspired by *The Manuscript...*—including Potocki’s notebook, manuscripts, and a signet ring with the Pilawa coat of arms. Many of the exhibits were shown to the public for the first time, coming from both private and state collections in Poland and abroad. The Łańcut Castle Museum also prepared a special **jubilee publication** to commemorate the occasion.

Compiled by **Joanna Sokołowska-Gwizdka**



## **20th Austin Polish Film Festival, Texas**

As part of the **20th Austin Polish Film Festival**, audiences will have the opportunity to see Wojciech Jerzy Has’s masterpiece *The Manuscript Found in Saragossa*.

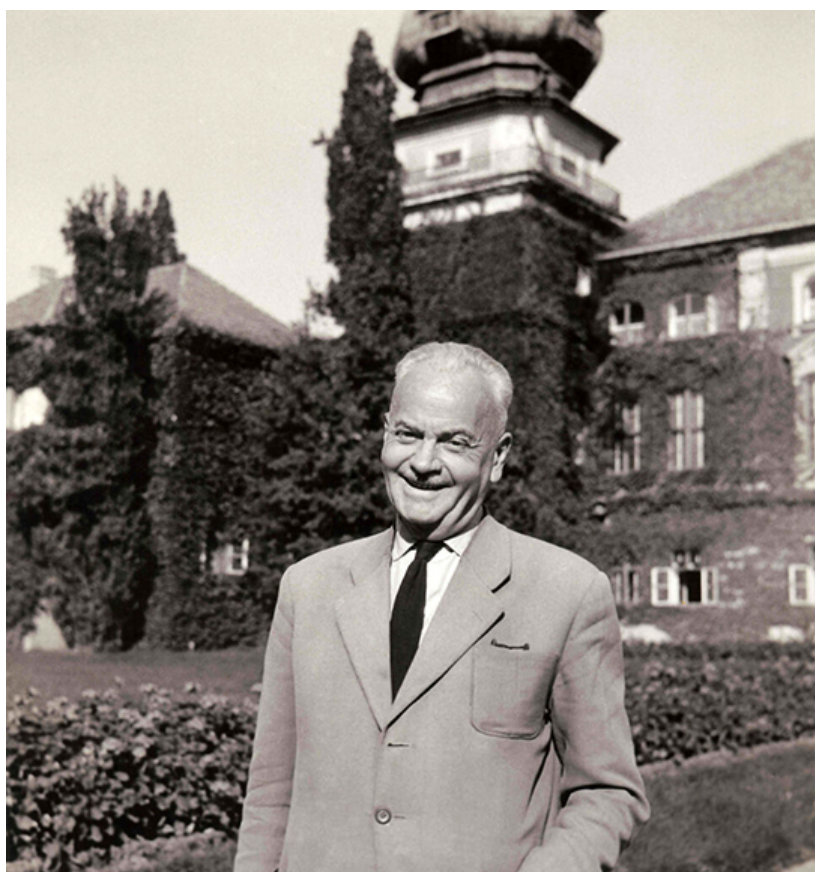
We warmly invite you to join us.

<https://www.austinpolfilm.com/>

---

# Entuzjasta oddany kulturze

Rozmowa z Zuzanną Guzel – Szczepiórkowską, autorką książki „Antoni Duda-Dziewierz w Łańcucie 1952-1972”.



*Dyrektor Antoni Duda-Dziewierz przed Zamkiem w Łańcucie, lata 60., fot; Lucjan Fogiel, arch. rodzinne*

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*Austin, Teksas*):

**Pani Zuzanno jest Pani wnuczką wieloletniego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie - Antoniego Dudy-Dziewierza. Wielokrotnie słyszałam od zaprzyjaźnionej pani kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie - Teresy Żurawskiej, jak wiele Pani Dziadek zrobił dla Łańcuta, jak bardzo był zasłużony dla kultury i jakim wspaniałym był człowiekiem. Ale z zawodu jest Pani lekarzem onkologiem, to odległa dziedzina od historii sztuki, muzealnictwa czy biografistyki. Skąd zatem pomysł, żeby napisać książkę o Dziadku?**

**Zuzanna Guzel-Szczepiórkowska** (*Warszawa*):

Postać Dziadka przez szereg lat bardzo intensywnie mi towarzyszyła. Tak dalece, że chciałam iść w jego ślady, chciałam być mu podobną - działać tak jak on, jak on mieć taką energię, taką siłę, takie inicjatywy i takie osiągnięcia.

Aby dobrze zacząć, zdecydowałam o studiowaniu konserwacji zabytków. Akurat w moim roczniku studia były możliwe tylko w Toruniu, co mi nie odpowiadało. Dostałam się w Warszawie na medycynę. W ten sposób kontynuowałam profesję obydwójga rodziców. Studia okazały się bardzo ciekawe, a praca zajmująca, choć wyczerpująca emocjonalnie i obciążająca psychicznie.

A o pisaniu biografii Dziadka nie myślałam wcale. W młodości miałam z nim doskonały kontakt. Zarówno we wczesnym „łańcuckim” dzieciństwie jak i w latach późniejszych, bo kiedy w 1972 roku sprowadzili się do Warszawy, ten kontakt się odnowił. Szczególnym czasem jego zacieśnienia był nasz wspólny wyjazd do Stanów Zjednoczonych w 1975 roku na zaproszenie Teresy Garbulińskiej. Dziadek miał wówczas 80 lat, a ja 14. Ten wyjazd ponownie nas do siebie zbliżył, ale na pewno nie zadałam mu wtedy żadnych ważnych pytań i nie przeprowadziłam żadnych istotnych rozmów, które po latach pomogłyby mi napisać książkę. Jako nastolatka miałam zupełnie inne sprawy na głowie, dużo ważniejsze.

A teraz, jak już dojrzałam do tematu, postanowiłam informacje o Dudzie-Dziewierzu zamieścić na stronie internetowej Muzeum-Zamku. I z tą inicjatywą wystąpiłam do Dyrektora Muzeum, który wyraził zgodę. Ale to Wrzesław Żurawski – syn wspomnianej Teresy Żurawskiej i Jerzego Żurawskiego, kustosa Muzeum w Łańcucie z czasów zarządzania mojego Dziadka – przekonał mnie, że pisanie życiorysu na jedną stronę czy zakładkę internetową to za mało, że Dziadkowi należy się dużo więcej. I to był początek drogi.



*Antoni Duda-Dziewierz z wnuczką Zuzanna na Sali Balowej w Zamku w Łańcucie, 1962 r., fot. arch. rodzinne*

Od dwóch lat tropię losy Antoniego. Frapujące zajęcie! Okres pracy w Łańcucie opisałam jako pierwszy. Był mi emocjonalnie najbliższy i miałam najwięcej materiałów archiwalnych. Do tego spotkałam się z wielką życzliwością zarówno dawnych jak i obecnych pracowników Muzeum oraz samych mieszkańców Łańcuta, zainteresowanych powojenną historią tego zabytku.

**Poznawanie losów bliskich jest zapewne wciągające i czuje się Pani jak detektyw. Nie mniej jednak pisanie wymaga nie tylko zaangażowania, ale i wiedzy. Jak ją Pani zdobywała?**

Przed przystąpieniem do pisania zaczęłam przeglądać archiwa, które miałam w domu. Bardzo się zdziwiłam, bo tam było mnóstwo różnych oderwanych notatek, listów, wycinków z gazet, jakieś zdjęcia, oczywiście niepodpisane - elegancka pani z parasolką, uśmiechnięty pan w kapeluszu, albo sprawozdanie z Krasieczyna z I półrocza 1969 r. - dlaczego akurat to sprawozdanie? Początkowo nie potrafiłam sobie z tym poradzić.

Tymczasem Duda-Dziewierz zbierał tylko te dokumenty, które mogły mu posłużyć do napisania wspomnień. Bo nosił się z tym zamiarem. Ale nie napisał. Ja mam do niego oczywiście wielki żal, że nie napisał, bo byłoby dużo łatwiej, gdyby zostawił po sobie wspomnienia. Można by je po prostu opublikować. Zachowałyby świeżość jego myśli, autentyczność przekazu.

A tak zostałam z takim stosem różnych kartek, które początkowo w ogóle mi się nie układały w żadną całość. I dopiero po długim czasie, jak już zapoznałam się z archiwami Biblioteki Narodowej i przeczytałam różne opracowania, dotarło do mnie, że to jest zbiór celowy - zbiór takich wyznaczników - o czym chciałby napisać. Wyobrażam sobie, że brałby do ręki taką kartkę czy takie zdjęcie i patrząc na nie opisałby fragment swojego życia. Mnie też w końcu się udało: pani z parasolką to hrabina Alfredowa Potocka podczas pobytu na Zamku w Łańcucie, pan w kapeluszu to Minister Kultury Garstecki wizytujący Zamek w Baranowie, a sprawozdanie z Krasieczyna dotyczyło decyzji, które

zdeteterminowały losy tego zabytku już na zawsze.



*Izabella Alfredowa Potocka z dyrektorem Antonim Duda-Dziewierzem w Łańcucie, 1972 r., fot. arch. rodzinne*

**Co według Pani może zainteresować współczesnego czytelnika w Pani książce?**

Książka opowiada o latach 50.-60. To czasy „słusznie minione”, ale niesłusznie pomijane we współczesnej opowieści o naszej powojennej historii. Nie wszystko było w nich złe i groźne. Były

postawy pozytywne. Były działania godne. I to w warunkach naprawdę trudnych, niesprzyjających. Zarówno w tym najwcześniejszym okresie odbudowy kraju jak i w latach późniejszych.

Myślę, że każdy, kto zdecyduje się do tej książki zajrzeć, znajdzie jakiś ciekawy rozdział dla siebie. Bo rozdziały są bardzo różnorodne: jedne mówią o dewastacji tego obiektu we wczesnych latach 50., inne o entuzjazmie odbudowy zabytku, ale też o klimacie politycznym tamtych lat. Jest o współpracy z PTTK, o wizycie hrabiny Alfredowej Potockiej. Jest sporo o planach, które się nie udały - z różnych powodów, różnych a jednocześnie bardzo typowych. Jest rozdział o skansenie, o Krasiczynie, o Przeworsku, o Żarnowcu, ale też o Malborku - bo to był bardzo interesujący element życiorysu dziadka, dlatego pozwoliłam sobie szczegółowo go opisać.

### **Na jakie napotkała Pani trudności podczas pisania?**

Niewątpliwie poważną trudność stanowiło to, że nie jestem literatem, pisarzem, dziennikarzem, a musiałam się zmierzyć z tematem, który był mi zupełnie obcy, więc to jest ta trudność, którą, mam nadzieję, pokonałam przyzwoicie.

No i bardzo trudno było mi pojąć panujące w tamtych czasach relacje, więc być może popełniłam jakieś błędy - nie wykluczam,

że są pewne niedociągnięcia.

I jeszcze ta wielka sztuka, aby zachować całkowitą bezstronność. To co pisałam nie dotyczyło osoby mi obcej tylko Dziadka, więc ta bezstronność mi się nie udała.

Ale ponieważ rozumiałam swoje ograniczenia, to nie napisałam tej książki od siebie. Oddałam w niej głos tym, którzy są znawcami tematu i ich wypowiedzi i opowieści zamieściłam.



*Antoni Duda-Dziewierz z pianistką, Teresą Garbulińską w Łańcucie, 1959 r, fot. arch. rodzinne*

Duda-Dziewierz miał w sobie jakieś niewyobrażalne pokłady entuzjazmu i wiary w człowieka, w jego możliwości sprawcze. Wydawało mu się, że tyle dobrych rzeczy dla społeczeństwa może zdziałać. Tę energię i optymizm przywiózł ze sobą do

Łańcuta. I właśnie tej energii, tej pasji działania należy mu zazdrościć. Bo nie zniechęcały go niepowodzenia. Jego życie to nie było wcale wielkie pasmo sukcesów. Raczej pasmo nieustanych zmaganiań.

### **Jak Pani myśli, które z cech Dziadka Pani odziedziczyła?**

Myślę, że na pewno mam jedną cechę, którą on miał – i to mnie raduje. A mianowicie upór w dążeniu do realizacji powziętego zadania. To się zmaterializowało w przypadku wmurowania, w październiku 2022 r. w łańcuckim Muzeum, tablicy upamiętniającej Antoniego Dudę-Dziewierza, teraz w postaci tej pięknej książki, a w niedługim czasie zrealizuje się w pełnej biografii Dziadka, nad którą pracuję. Założyłam też stronę internetową, gdzie zamieszczam część z tych informacji i archiwalnych zdjęć, żeby można było do nich sięgnąć w dowolnym momencie.

Zapraszam zatem do czytania.



*Zuzanna Guzel-Szczepiórkowska*

# Antoni Duda-Dziewierz w Łańcucie 1952 - 1972



W październiku 2022 r. w Muzeum-Zamku w Łąncucie  
wmurowano tablicę upamiętniającą zasługi  
Antoniego Dudy-Dziewierza - dyrektora Muzeum  
w latach 1952-1972, człowieka, którego aktywność przy  
odbudowie rezydencji łańcuckiej jest wciąż żywo pamiętana.  
Jak udało się podźwignąć z powojennych zniszczeń  
posiadłość, która dokumentowała przeszłość  
potępianą przez ówczesne władze?  
Dlaczego lokalna społeczność wsparła wysiłki  
człowieka „z nadania” Warszawy?  
Jaki był Antoni Duda-Dziewierz i czy zrealizował  
wszystkie swoje zamierzenia?  
Próbę odpowiedzi zawarłam w tej książce.

*Zuzanna Guzel-Szczepiórkowska*



ISBN 978-83-964615-5-1

*Książka jest dostępna na Allegro.*

\*

\*

**Strona poświęcona Antoniemu Duda-Dziewierzowi:**

<http://duda-dziewierz.pl/>

## Zobacz też:

Sześćdziesiąt muzycznych wiosen

Historia w karetach zaklęta

Ze wspomnień starego lokaja

Teatrzyk zamkowy w Łańcucie za pierwszego ordynata  
Alfreda Potockiego w latach 1816-1862.

---

# Miłość, która przetrwała rozłąkę

**Jolanta Łada-Zielke** (*Hamburg*)

\*\*\*

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej” we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako

nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów”, za którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Małą Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i zgrabne półbuciki. Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres - Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?



Ślub Józefy i Kazimierza



Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobnym pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak

najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

*Lwów, dnia 23 października 1916.*

*Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkim, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bożę o szczęśliwy i jak najprędzszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu...*

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

*Kijów, 27 marca 1917.*

*Najdroższa Józio! Już blisko dwa miesiące jak nie mam*

wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrow, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasyłam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

*Kijów, 30 czerwca 1917.*

*Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę.  
Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrow jestem.  
Zasyłam najserdeczniejsze ucałowania.*



Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w

wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

*Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót...*

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

- Bądź grzeczna i siedź cicho - przykazała jej - jedziemy do taty,

on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób rozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkami i powtarzając cichutko: „Tata woli kaka, tata woli kaka...”

Pobyty obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwały kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowano poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

- Ale my już prawie jesteśmy w domu - próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

- I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? - zapytał Kazimierz.

- Nie - odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

*Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisanania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie,*

*lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.*

*Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.*

*Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć, tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko*

*będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.*

*Tak jestem ciekaw, co tam słyszeć, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.*

*Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swoim położeniem przelękniony, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz*

*Kijów 16/V/1920.*

*Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.*

## **Korespondencja wojenna**





Kazimierz powrócił do rodziny dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej, przedzierając się przez niespokojne tereny powstałej właśnie Ukraińskiej Republiki Ludowej, w towarzystwie przewodnika, który co jakiś czas przystawał i kazał sobie dodatkowo płacić. Zupełnie jak maszynista z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, który zatrzymywał pociąg jadący do Polski i zarządzał „remontik”. Kazimierz rad nierad płacił, aż w końcu wydał wszystko, co miał. Wtedy złapał kompana za gardło, potrząsnął nim trochę, pogroził, a ten już

bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

- To tamtejsza - tłumaczył żonie i córce - chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: - *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

\*\*\*

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody - *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego*

*osobliwy relikw w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.[1]*

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską”, która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utracić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazimierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała siebie”, jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół

Szkół Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanąły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

- Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprawdzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła” na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.



Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowscy ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stanął na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkałe było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone

wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

- Daj sobie spokój z tym cypundrakiem - poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

- To takie „ni to, ni sio” - wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na

pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

\*\*\*

## „Załubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

*Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracja i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.*

Julia 25 lipca 1941

Stanowem Pani!

Julia bardzo przykro  
wygląda i serdecznie  
mię wita, dowiedząc  
wyrazem, tylko smutno  
było bez Pana! mi  
nadzieję, że jeszcze wypo-  
czynek Panu dobiec zobie  
i że Pan wnet do nas powróci  
ochotliwie Pana wyzwy!

Łęka wyraz  
prawdziwego powołania  
Potocki



Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrowki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

*Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkim zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowolniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym stale cierpi na bezsenność.*

*Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.*

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki”, którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniączkę”. Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając

się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprawdzie nie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

- Jacy z was żołnierze?! - zawołała oburzona Józefa. - Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

- *Eto wracz!* - zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowscy sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną czapkę, materiał na

garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów - męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

*Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołyńii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.*

\*\*\*

**Śmierć na wygnaniu**

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutschów*, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba”, jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokoiów i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli. Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ująłby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym

przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpacz, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z mężonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.



Narzeczeni - Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki  
Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się

nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe”, czyli „pomoc biurową”. Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

---

## **Przypisy:**

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf - Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

---

# Karnawał u Potockich w Łańcucie



Muzeum zamek w Łańcucie, fot. [www.zamek-lancut.pl](http://www.zamek-lancut.pl)

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*Austin, Teksas*)

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa,

powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze.


Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

*- Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście - wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski - mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.*



Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, matka ostatniego ordynata w kostiumie karnawałowym, jako Szecherezada, Lwów, 1909 r., fot. arch. J. Sokołowskiej-Gwizdka

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru – Susaną Yturregui y Orbegoso, zwaną Suzanitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty w kręgach dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w

Bieszczady, był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy.

*- Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał - pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”. - Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.*

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księżstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred starannie opisywał:

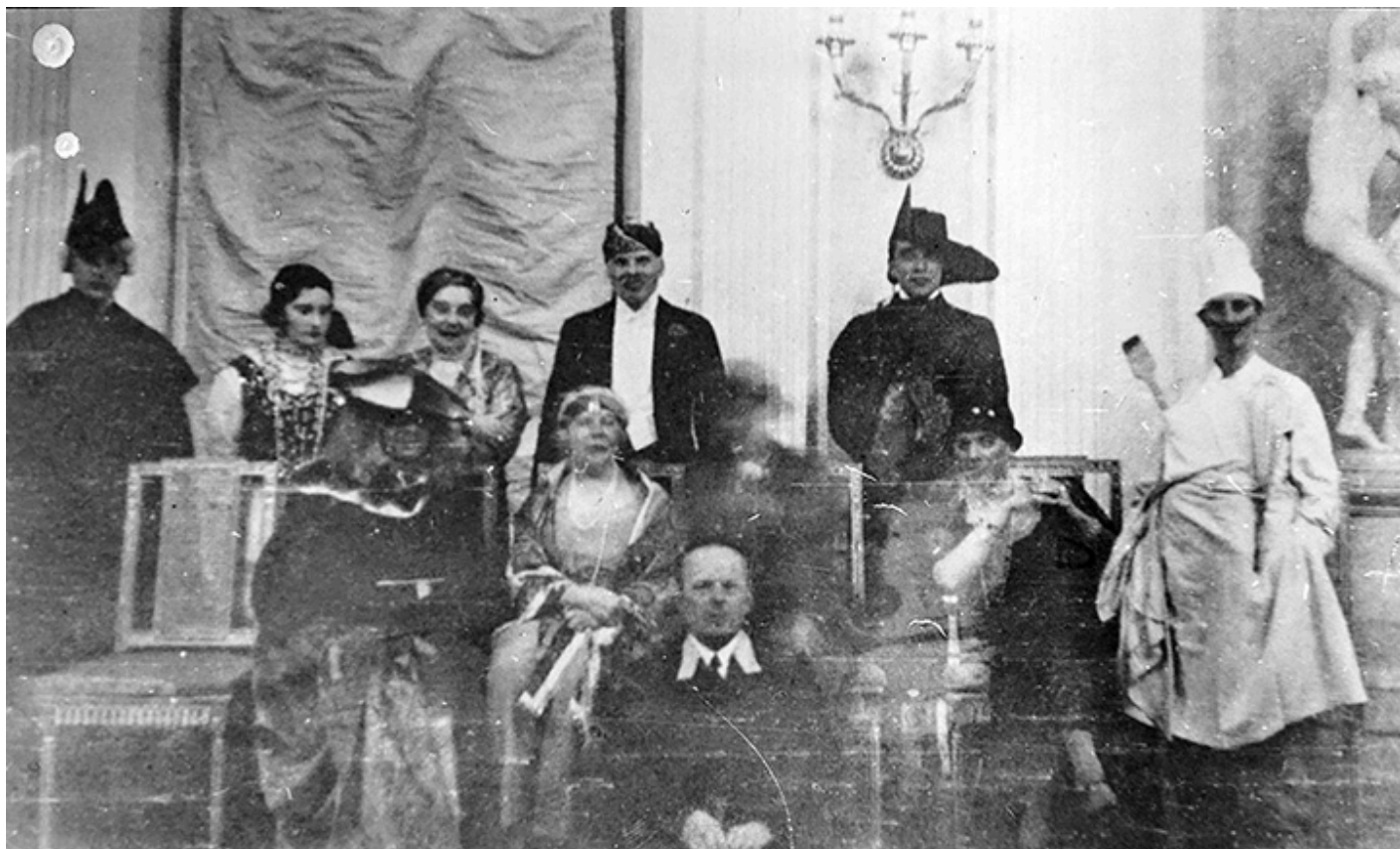


Alfred Potocki, IV ordynat (1886-1958), fot. Muzeum Zamek w Łańcucie

*...król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse”, jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.*

*...Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że księżę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą - opisuje dalej hrabia Alfred. - Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a’la Daumont. Przed herbatą księżę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzyć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Księżę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nie udawaną przyjemnością jaką odczuwał z pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze*

*swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których księżę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmiłszych wspomnień.*



Bal kostiumowy połączony z przedstawieniem amatorskim, Łańcut, Jadalnia Biała, ok. 1930 r. Elżbieta z Radziwiłłów Romanowa Potocka, Alfred Potocki, Jerzy Potocki, Suzanita Yturregui Potocka (przebrana za kucharza), żona hr Szembeka, wiceministra spraw zagranicznych Polski, fot. arch. J.

## Sokołowskiej-Gwizdka

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia. – *Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas* – wspomina Alfred Potocki. – *Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.* Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane.

Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu

i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, gorzelnię w Łańcucie wysadzili wycofujący się Niemcy. W aparacie destylacyjnym jeszcze pozostał alkohol, żołnierze radzieccy strzelali więc do kolumny destylacyjnej, po czym łapali tryskający spirytus do ust lub do hełmów. Jeden z żołnierzy zapalił się od papierosa i leży pochowany na łańcuckim cmentarzu.

---

## **Źródła:**

Aleksander Świątoniowski - lokaj Potockich z pierwszego piętra,

rozmowa

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w Łańcucie.

---

# Zabawy karnawałowe i słynne przyjęcia u Potockich w Łańcucie



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Na zdjęciu hrabia Alfred Potocki, księżna Kentu Marina, księżna Elżbieta Lichtenstein (na tylnym siedzeniu z lewej) i towarzyszące im osoby podczas przejażdżki powozem, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

## **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*Austin, Teksas*)

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z

amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście,- wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski - mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od Powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru - Suzenitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty z

kręgami dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w Bieszczady był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy. – *Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał* – pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”.

Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.



Alfred Antoni Wilhelm Roman Bazyli Potocki, ostatni (IV) ordynat Łańcuta

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred

starannie opisywał:

*...król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse”, jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.*

...Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że księżę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą - opisuje dalej hrabia Alfred - Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a'la Daumont. Przed herbatą księżę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzeć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Księżę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nieudawaną przyjemnością jaką odczuwał z

pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których księżę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmiłszych wspomnień.



Wnętrze zamku w Łańcut, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia.

Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas - wspomina Alfred Potocki. - Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.

Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane. Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie

wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, w gorzelnię Alfreda Potockiego trafiła bomba, alkohol zaś rozpłynął się po okolicach. Żołnierze radzieccy, nie mogli wyjść z podziwu, jaki tu jest dobrobyt i jaka to wspaniała urodzajna ziemia, skoro wódka strumieniami płynie.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

---

## Źródła:

Aleksander Świętoniowski – lokaj Potockich z pierwszego piętra, rozmowa.

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w

Łańcucie.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka: Ze wspomnień starego lokaja**

<https://www.cultureave.com/ze-wspomnien-starego-lokaja/>

---

Wesele, które  
w karnawale  
Marszałek Wielki  
i Hetman Polny

Koronny Jerzy  
Sebastian Lubomirski  
wyprawił córce swojej  
na Łańcuckim Zamku  
w 1661 roku

**Polskie tradycje, polskie obyczaje**



Widok od zachodu. Akwarela Thomasa de Thomona z końca XVIII w., fot. E. Baniukiewicz, Z. Wiśniowska, Zamek w Łańcucie, Arkady, Warszawa, 1980

## **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*Austin, Teksas*)

Wystawił ten świątobliwy pan drugą fortecę jakoby wpośród pola w Łańcucie, z ośmdziesiąt dział, puszkarzami, prochownią prowiantami, amunicyjami. Tamże zawsze trzymał circum circa piechoty czterysta, także wybranych z włości swoich i czterysta beczek wina dla traktamentu przyjaciół i braciej szlachty polskiej.

Tak Stanisław Czerniecki, Podstoli Żytomierski opisywał "Dwór,

Wspaniałość, Powagę i Rządy Jaśnie Oświeconego Księcia Stanisława Lubomirskiego, Chwalebneho Zwycięzcę Nad Osmanem Cesarzem Tureckim pod Chocimiem...”, ojca Jerzego Sebastiana. Oprócz zasług Księcia dla kraju i szczegółowego opisu dworu Czerniecki utrwalił wydarzenie, które przeszło do historii, ślub panny Konstancji Lubomirskiej, córki Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, z Felicyjanem Potockim. Ceremonia i wesele odbyły się po Świątach Bożego Narodzenia, w karnawale, kiedy to na pańskich dworach bawiono się hucznie aż do postu. Na dworze zatrudnionych było na stałe:

Kuchmistrzów szlachty dwóch, Kucharzów tak Francuzów, jako i Niemców z Polakami dwanaście i wozów po sześciu koni, dla nich i dla naczyń dwa. Pasztetników trzech a piekarzów czterech.

Przygotowanie wesela wymagało jednak zatrudnienia dodatkowych osób.

Jaki rozchód był na tym weselu, który był w mojej dyspozycji - pisze Czerniecki - snadno się domyślić może każdy z liczby kucharzów, których było siedemdziesiąt pięć, a tych zwożono z różnych miejsc, z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Do tego Kuchen Wielkich cztery i kuchmistrzów

czterech. Z osobna pasztetników sześć, cukierników czterech Francuzów, którzy na miejscu w Łańcucie cukry robili.



Alegoryczny portret Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, ojca panny młodej, autor nieznan, fot. wikipedia

Nie sposób wymienić wszystkiego, co znalazło się wtedy na łańcuckich stołach, ale już kilka pozycji daje wyobrażenie o wielkości przyjęcia.

Na same stoły rozchód był takowy. Wołów karmnych - 60, Cieląt - 300, Bażantów - 500, Kapłonów karmnych - 3 000, Kapłonów dworowych - 3 000, Kur prostych - 8 000, Kurcząt par - 1 500, Gołęmbi par - 1 500, Indyków młodych - 1 500, Indyków starych - 500, Kaczek swojskich - 1 500, gęsi karmnych - 500, Wieprzów karmnych - 30, Prosiąt - 120, Jeleni - 24, Danieli - 30, Zajęcy - 300, Sarn - 45, Dzików - 4...

A oto jak Stanisław Czarniecki opisuje samo wydarzenie.

Naprzód przyjazd do Łańcuta Wojewody (Stanisława Potockiego) z Jego Synem (Felicijanem Potockim). Dostyć ozdobny, ludzi zacnych i rycerstwa poczet niemały, koni tureckich, bachmatów szmailskich, rumaków polskich sześćdziesiąt. W kawalkacie przyjaciół i usariej, pułkowników, wyborowych zacnych kawalerów półtora tysiący. Przeciw Tym Jaśnie Wielmożnym, Marszałek Wielki Koronny nie w mniejszym poczcie wyjechał, o pół milę do wsi Głuchowa. Na wjazd tych Ich MM do zamku Łańcuckiego, który był w piątek, z dział dwunastu na wał wytoczonych, dano ognia dwakroć, to jest 24 razy. Po ślubie, który był w Kościele w niedzielę na powrót z kościoła do zamku tychże Jaśnie Wielmożnych Ich Mościów dano ognia razy 24. za zdrowie

rycerstwa wszystkiego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. Za zdrowie JW Hetmana Wielkiego Koronnego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. W poczcie piechoty cudzoziemskiej we dnie i w nocy stało 1 200. Po wałach piechoty węgierskiej stało we dnie i w nocy 600. Piechoty do noszenia potraw było 600. Zbudowano circum circa około pałacu w zamku pokojów dla pułkowników z tarcic - 40. Posłów tak, cudzoziemskich, jak i panów możnych i rycerstwa obojga narodów, z upominkami, które przez trzy dni oddawali, było 1 500, co twierdził regestr, do którego się Ich Mość panowie Posłowie wpisywali. (...) To trzeba wiedzieć, że tam był takowy traktament i wygoda gościom, że do wszystkich pokojów otwierano kluczem generalnym, a na śniadanie i wieczerzę stoły wszystkich gości zastawowano, ludo goście spali i jeść nie chcieli i win dostatek przy potrawach nanoszono. A trwał ten solenny bankiet od piątku do drugiego piątku i szczęśliwie bez wszelkiej zwady zakończony.

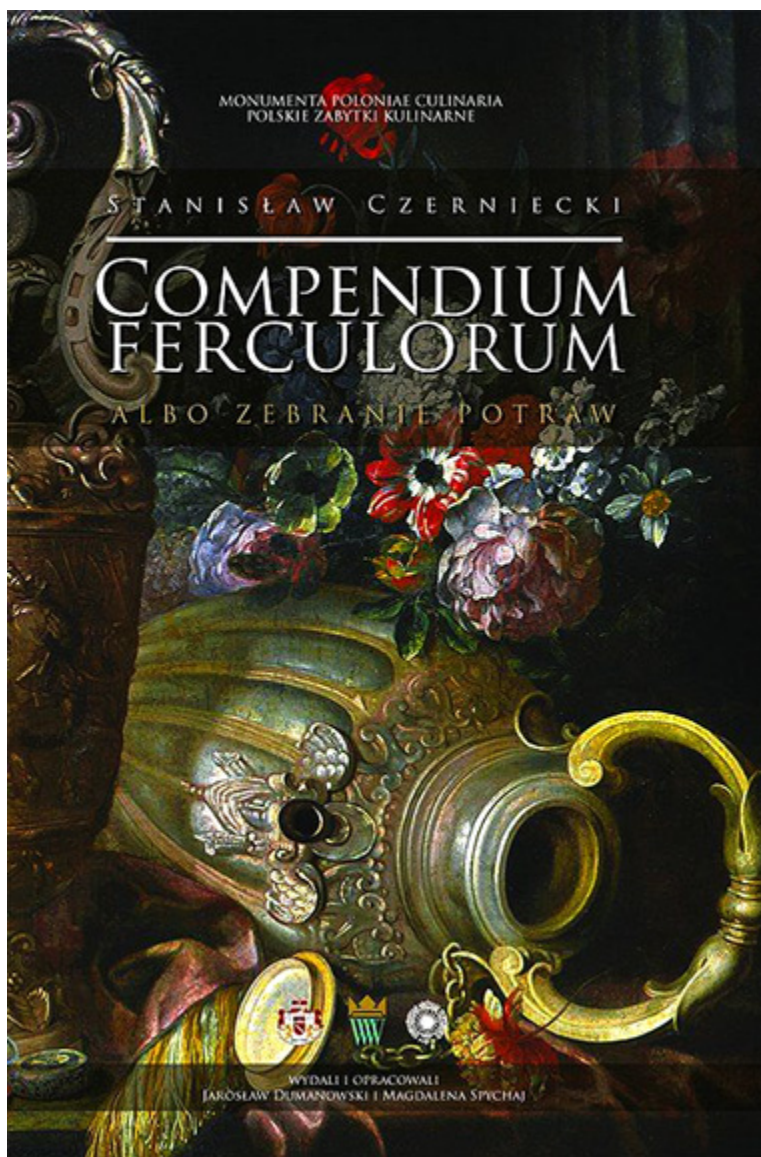


Witold Kłaczewski, Jerzy Sebastian Lubomirski, Wrocław 2002.

Możni Panowie w XVII wieku mieli dużą władzę. Z racji ciągłych najazdów dysponowali wojskiem. Ich fortuny rosły. W okresach wolnych od wojen, bawiono się więc, ucztowano wiele dni, tygodni czy miesięcy. Dwory magnackie naśladowały dwór królewski, sprowadzano muzyków zza granicy, zatrudniano własne orkiestry. Takie wydarzenie jak ślub i wesele, musiały zapaść w pamięci, nie mogły być gorsze czy mniejsze od królewskich.

---

**Bibliografia:** Stanisław Czerniecki: *Dwór wspaniałość powaga i rządy.....1697 rok, rękopis Biblioteki Ossolińskich.*



Stanisław Czerniecki, który opisał słynne wesele w Łańcucie, jest autorem najstarszej książki kucharskiej „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw” z 1682 r. Książka ta została opracowana przez prof. Jarosława Dumanowskiego z Uniwersytetu w Toruniu i wydana przez Muzeum Pałac w Wilanowie w 2012 r.

**Artykuł prof. Jarosława Dumanowskiego o zapomnianych potrawach wigilijnych:**

<https://www.cultureave.com/zapomniana-wigilia/>